PAMIĘCI 29-GO LISTOPADA

JEDNODNIÓWKA STRZELECKA



JEDNODNIÓWKA STRZELECKA.







PRAGA R. 1831.


V.
B
G
BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS



GUSTAW DANIŁOWSKI.

W ROCZNICĘ.

Jest czynów ludzkich tak podniosła sfera,
Gdzie można zginąć, lecz się nie umiera.
Taka rocznica! — Szerzej i goręcej
Masz znów sposobność, odetchnąć, Narodzie,
Podnieść się z nędzy, niewoli barłogu,
By iść pochodem do trumny książęcej,
Wodza, co brocząc krwią w Elstery wodzie,
Honor twój oddał w ręce Panu Bogu,
Z myślą, że kiedy ci będzie potrzeba,
Po ten depozyt sięgniesz aż do nieba.

I tyś poń sięgał we dni listopada
Pod Belwederem i na Woli szańcu,
O czci tej twojej Noc styczniowa gada,
Szepcą mogiły, szumią drzewa boru...
Lecz dziś — w obroży, na smyczy, w kagańcu
Jak się ośmielisz, odarty z honoru,
Bez buntu w piersiach, bez zbroi i siły
Do Wojownika zbliżyć się mogiły?!...

Czyż po to leży wśród nas, by dać prawo
Na krótki moment przy niej się rozpalić,
Ciżbą w królewskie wejść lochy i wrzawą
Pustych słów Jego śmierć waleczną chwalić —
Majestat Jego zamącić spokojny
Nam, których straszy nawet widmo wojny!
I czy nie zadrży proch Jego przed dłonią,
Co dziś łańcuchem szczęka — a nie bronią!...

Nie drżyj, rycerzu szlachetny i twardy,
Coś krwią kupował bohaterstwo chwały,
Piersią swą chronił odwrót arjergardy!
Miał życie mężne i miał zgon wspaniały!
Czas twój nadchodzi: na wygasłym zniczu
Niecą się świetne płomienie wyzwoleń,
W Polski zniszczonem, steranem obliczu
Coraz gorętsze palą się rumieńce —
Zmartwychpowstaniesz w uczuciach pokoleń,
Co cześć i honor ojczyźnie Twej wrócą
I na sarkofag Twój nie kwiatów wieńce
Lecz miecz dymiący krwią zwycięstwa rzucą.

NOC 29 LISTOPADA 1831 R. (WYJĄTEK Z DZIEŁA „POWSTANIE NARODU POLSKIEGO“ PRZEZ M. MOCHNACKIEGO).

Nad wieczorem dnia 29 listopada 1830 roku, gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cywilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ruchu napadem na Belweder, szli po dwóch, po trzech, różnemi drogami do lasku Łazienkowskiego, jedni z ukrytą krótką bronią palną, drudzy bez broni, ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabinów ze szkoły podchorążych. Niebo było pochmurne przez ten cały dzień, tak, że zmierzch i noc prawie bez przedziału w jeden moment przypadły. W Łazienkach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół godziny przed terminem; miało ich być wszystkich czterdziestu; lecz różne okoliczności, — — więcej niżeli o połowę tę liczbę pomniejszyły.

Wyniesiono karabiny podchorążych Moskali, którzy udawali, że niedostrzegają tego, co się około nich działo. Gdy się szkoła uzbrajała, Nabielak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły: było wszystkich ośmnastu.

Rozdzielili się na dwie równe części. Jedna część, pod komendą Trzaskowskiego, udała się w górę drogą ku rogatkom mokotowskim, żeby wpaść do Belwederu od frontu przez główną bramę.

Oddział od frontu dochodząc do bramy podwoił kroku i nagle z przerażającym okrzykiem: „Śmierć tyranowi!“ wleciał na dziedziniec. Kilka osób tam będących uciekło natychmiast i przymykało za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą i przy pomocy innych wysadzili je z zawias. Potłuczono szyby w dolnych oknach, przy ciągłem wołaniu: „Śmierć tyranowi!“

Już natenczas szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia (Konstantego) do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami. Głuche naokoło milczenie! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu. Wpadają na górę, odmykają, a raczej wyłamują jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy.

Powstanie zastało carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka i wypycha do gabinetu, skąd tajemne schody prowadziły do lewego pawilonu księżny Łowickiej; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżny miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami...

. . . .

Kiedy rewolucya w pierwszem poruszeniu swojem nawiedzała Belweder i brata potężnych carów północy spłaszała z pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającemi siłami. Wysocki — — wszedł do szkoły, przerwał lekcyę teoryi, wykładaną jak zwykle o tej porze, i dobywając szpady zawołał donośnym głosem: „Polacy! godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniem, — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!“ Rozległ się w sali okrzyk: „do broni, do broni!“ Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki, które Schlegel przyniósł,

i daleko prędzej, niżelibym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stusześciudziesiąt i kilku, każdy z nich znał komendę brygady i dywizyi jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyralierów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskalowi za długą naukę na saskim placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Piotr Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej...

. . . .

CZESŁAW WROCKI. KIEDYŚ...

...A wszakże wśród nas tacy byli,
co świt wstający nocą śnili,
stal zardzewiałą z pochew darli, — —
za Wolność radośnie pomarli!

Słów głośnych nie nieśli na targi,
ni serc składali w łzawnice, —
lecz śmiały się blade ich wargi,
gdy gromy rzucały prawice.

Zginęło młodo — męką struci
i judaszową zdradą braci,
żałosną dolą społem skuci,
ofiarą mężnych serc bogaci.

Tak jasno patrzyli, tak dumnie,
gdy grób im dłoń katów kopała!
Dziś — — podłość czuwa przy ich trumnie,
by kiedyś z niej Wolność nie wstała...

ANDRZEJ STRUG. DUSZA POKOLENIA Z ROKU 1863*).

Wojna jako kolosalny czyn zbiorowy, domagający się od narodów wytężenia wszystkich i wszelkich sił, jest najwyższym i nieubłaganym w logice swojej sprawdzianiem mocy narodu.

Wojna odsłania prawdziwe wartości, kruszy wszystko co pozorne a nieistotne, wydobywa na jaw siły ukryte w czasie pokoju lub przytłumione. Jak pług głęboko sięgający, wydostaje ona na wierzch całe podglebia życia narodowego, zdradza wszelkie tajemnice, wyoruje nieznane cnoty i nieznane zbrodnie, zadaje nieraz kłam wszelkim uprzednio ugruntowanym sądom o narodzie lub o państwie. Wojna obala stare potęgi, wynosi młode narody, przekreśla wszelkie traktaty, przesuwa granice, wojna zabija lub wskrzesza,

*) Rzecz, wypowiedziana 28 stycznia 1913 na obchodzie 50-lecia Powstania styczniowego, urządzonym staraniem Towarzystwa Artystów Polskich w Paryżu.

zamyka w niewoli lub wyzwala. Brutalna, niczym nie osłonięta i rozpasana walka o byt, gdzie jedynym prawem siła, siła, i nic prócz siły — oto wojna.

Na wojnie zwycięża tylko mocniejszy. W takim momencie wszystkie moce i władze narodu wynaturzyć się muszą w siłę bojową. Tu na szalę rzucić trzeba **wszystko**, ze wszystkiego umieć uczynić siłę, wszystko skierować ku jedynemu.

Praca nad wytworzeniem tej kolosalnej energii i nad zezpoleniem jej w jedno ognisko jednej przełomowej chwili dziejowej — to odmęt procesów psychicznych, w których dusza walczącego narodu staje jak przed nieubłaganym zwierciadłem i spogląda w prawdziwe oblicze swoje.

Wojna narodu o odzyskanie niepodległości narodu polskiego w onym roku 63-im podlega tym samym prawom.

Przed ujarzmionym i rozdartym narodem, po kilkakrotnym w ciągu stu lat zmaganiu się wojennym o swoją wolność — stanęło znowu straszliwe zadanie: dobycia ze siebie najwyższej potęgi i najwyższej mądrości. Zadanie to zostało niewypełnione.

Pokolenia przekazywały je pokoleniom wraz z dziedzictwem klęsk i błędów, niezmiernych ofiar, poświęceń i wysiłków.

Za każdym razem rwąc się ku jedynemu — ku wolności, imając się jedynego środka — oręża, naród w zmianie pokoleń daje nam odmienny obraz oblicza swej duszy. Piętno epoki, pamięć przeżyć ojców, pamięć na ich czyn i na ich mądrość polityczną, echa i wpływy wydarzeń świata, pokrewieństwo dążeń innych narodów, nadzieje na pomoc obcą — coraz to inne konfiguracye stosunków europejskich, wszystko to w zmieszanym nurcie bije o dusze polskie, wywołuje prądy, walki wewnętrzne, doktryny, nastroje. Aż w pewnej chwili dziejowej wzmaga się do najwyższej potęgi napięcie woli zbiorowej — i lada wypadek obliczalny lub nieobliczalny podpala nagromadzone prochy.

Naród czuje się wyważony z codziennego trwania — nie może dłużej znosić niewoli, którą dźwigał w ciągu długich lat, odważa się na to, co wczoraj jeszcze poczytywał za szaleństwo, spodziewa się tego, co wydawało się jeszcze wczoraj chimerą...

Proces psychiczny zawsze ten sam — lecz jakże rozmaite były za każdym razem jego objawy!

Zawsze płynęły przez polskie pola potoki krwi, po tylekroć zdeptane żelazną stopą wojny — lecz jakże różne barwy w obrazach naszych walk o niepodległość!

Wola do nowego życia, zapał, wysiłek, poświęcenie z życia i mienia, ocknienie godności narodu... Odmęt szczytnych haseł, wielkie słowa, opiewające dzieje starych walk, dźwięczą melodyą wiecznie młodą, spowijając w wieńce poezyi ruiny klęski i dawne mogiły poległych...

* * *

Ale historya ma spojrzenia zimne. Sumienie narodu jak sumienie człowieka, winno być surowe i trzeźwe.

Odsłaniamy głowy, pochylamy czoła przed mogiłami tych, co walczyli przed nami, ale kiedy w godzinę rozwagi i rozpamiętywania — dla nauki i dl atego samego wiecznie ciążącego na nas zadania — spoglądamy na prze-



GENERAŁ CHŁOPICKI.



XIĄŻĘ ADAM CZARTORYSKI.

szłość, niechaj łzy nie przesłaniają nam bystrości spojrzenia. Powinnością naszą uczcić, powinnością naszą poznać — i osądzić.

Tak i nas kiedyś sądzić będą potomni!

Historya narodu w niedoli nie pyta o łzy, cierpienia, bohaterstwa, wysiłki, klęski, o zaszczytnie przegrane bitwy, o mogiły, o straty...

Los narodu rzuca jedno uparte, nieprzełamane i okrutne w owej logice pytanie: Masz-li siłę?

. . . .

. . . .

Szukali tej siły w narodzie przodkowie nasi z pokolenia w pokolenie.

...Jeszcze w całości stoją granice Rzeczypospolitej, ale w ogromnym państwie już gospodarzą obcy. Pierwszy ruch ku otrząśnięciu się z hańbiącego jarzma i wpływu obcej potencyi — to Konfederacya Barska.

To stara dusza szlachcica ze wszystkiemi wadami szlachty z czasów upadku, hucznie a zbrojno, konno a kupą, po staroświecku, po konfederacku, nieoględnie a z dufnością w dzielność swoją, ogłasza wojnę przeciwko wojskom obcej potencyi i niedołężnemu rządowi i królowi. Niema poczucia epoki, niema tu spojrzenia wgłąb siebie, ani świadomości, że w ruinach leży stara siła narodu — siła szlachecka.

I starga się ten wysiłek w bezładnej walce trzech lat, nie sięgając w głąb narodu, nie stwarzając nowych wartości, nowych sił ku wspomożeniu zamierających.

Dopiero po pracach Sejmu Wielkiego, wśród napiętej energii narodu, który już dojrzał był przed sobą widmo zagłady, wybity zostaje pierwszy wyłom w duszy szlacheckiej. Otwierają się upusty nowych sił — nowa świeża krew zaczyna napływać do skołatanego organizmu Rzeczypospolitej.

Broni się dusza szlachecka przed przewrotem całą potęgą bierności, opiera się stara Polska niesłychanej nowości. I Kościuszko wraz z marzeniem swoim — o nowych niezmożonych siłach narodu pada na Maciejowickim polu.

* * *

Znika państwo Polskie z karty Europy. Daleko poza krajem, w obcej służbie, wśród splątanej sieci obcej polityki kołacze się twórcza myśl polska. Obija Polak cudze progi, obcy mundur na polskim żołnierzu, w obcej sprawie wytraca się siła jego, ginie na „ziemi włoskiej" w marzeniu, że kiedyś złączy się z narodem. Legiony...

I oto nowy obraz dziejowy: polski szlachcic jako żołnierz Wielkiej Rewolucyi. Ale zewnętrznie jeno przylegają doń nowe hasła i doktryny. W duszy szlachcica nowej daty — oficera legionisty — dokonywuje się inne przeobrażenie. Nieokiełzany w samowoli, wzrosły w ideowym nieposłuszeństwie indywidualista zamienia się w karnego, ślepego w posłuszeństwie żołnierza. I jako żołnierz wierzyć on będzie tylko w wojnę, pamiętać będzie tylko o mieczu — nie pomny na to, k t o w Polsce i z a c o walczyć zechce... S k ą d, j a k powołać do życia w zamarłej Polsce owe bataliony zwycięskie?

Zagadnienie ciężkie dla żołnierza. Nie podołały temu dusze ofiarne i mężne. Opuszczony został kraj, wydany na pastwę rządom najezdniczym, urwała się w kraju twórcza myśl narodowa, — martwą się stała ustawa trzeciego maja, zapomniany został czyn Kościuszkowski.

Olbrzymia postać Napoleona na szereg lat zawładła losami Polski. Ona to stanęła na miejscu twórczej, własnej myśli narodu. Nie stało samoistności i w czynie i w myśli. Napoleon wykreślał Polsce granice, Napoleon dyktował jej prawa. Rozkaz Napoleona wyciskał z Polski ostatni grosz, ostatniego żołnierza.

Karny duch żołnierski zamienił Polskę na obóz wojenny.

Stał się dogmatem honor wojskowy, bezwzględne posłuszeństwo komendzie, męstwo metodyczne, wojskowa rekrutacya — zamiast propagandy — zaprzepaszczona została wśród zawieruchy nieustannych wojen Napoleońskich idea siły własnej, rodzimej, z głębi nowych warstw narodu wypływającej. Urwała się nić Kościuszkowskiego przędziwa.

A gdy padnie Napoleon, rzucona zostanie sprawa Polska na pastwę targowiska Europy, bez woli i głosu, niema i bezbronna. W przetargach Kongresu wiedeńskiego wydrze innym grabieżcom lwią część łupu polskiego car Aleksander i ku niemu obrócą się nadzieje i spojrzenia polskiej mądrości stanu. Jak przedtem Wielkiego Napoleona, nazywać będą wskrzesicielem Wielkiego Aleksandra. Upłyną lata królestwa kongresowego w nadziejach na dobrą wolę króla polskiego, w nieśmiałej obronie podarowanej konstytucyi — bez cienia troski o stworzenie własnej, pewnej, niezłomnej siły narodowej.

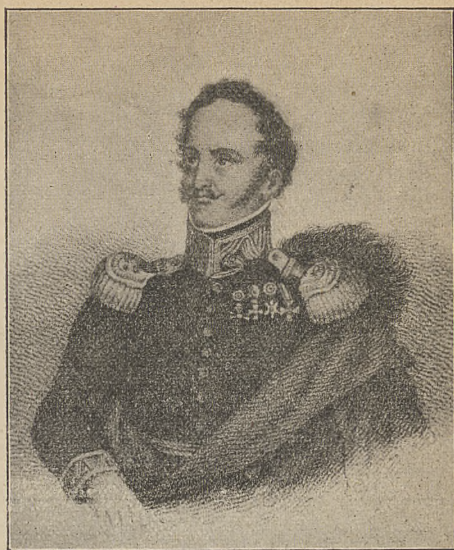
Rok 31-y...

W noc listopadową znowu Fatum Polski odzywa się zimnym bezlitosnym pytaniem: — Masz-li ty siłę?

Chwiejnie, bezwolnie poczyna się ta nowa walka. Generalicya, dygnitaryat cywilny, Sejm, a dalej najwybitniejsi ludzie epoki, ku którym zwracały się ufające spojrzenia narodu, zawiedli, zdradzili nadzieje...



GENERAŁ R. SOŁTYK.



GENERAŁ UMIŃSKI.

Polskiej mądrości stanu zabrakło punktu oparcia, nie było wiary w siły własne, ani idei samoistności. Ani dzielnotci moralnej, ani odwagi obywatelskiej, choć było męstwo żołnierskie na wszystkich polach bitew.

Wobec grozy wojennej bezsilnym jest obywatel bez żołnierza, ale zadarmo ginie żołnierz bez mocnych, twórczych obywateli. Bowiem siła narodu nie dzieli się! Jeżeli jest — jest ona niepodzielną, jest jedną, jedyną.

Niemoc moralna, niemoc polskiego poczucia obywatelskiego, brak wielkiej idei, rozpętania nowej siły w narodzie — oto, co pozbawiło dzielności wodzów — oto, co wytrąciło oręż z ręki najmężniejszym żołnierzom epoki.

. . . .

Zwraca się naród ku zleczeniu duszy własnej. Poczuwa się do chorości ducha...

Prace emigracyi, zjawiska nowe, twórcze, przewroty, walki wewnętrzne, zdobycze niesłychane w dziejach narodu — wielkie imiona.

Poczyna się szukanie siły w narodzie.

W mozole pracy nad przeszłością, w zamęcie walk stronniczych, w badaniu prądów nurtujących Europę, w natchnieniu wieszczów-poetów wytwarza się idea nowych sił narodu, wynurza się idea sprawiedliwości społecznej. W odmiennych warunkach, w nowej epoce po wielu latach przerwy, po tylu błąkaniach, po tylu zawodach nawiązuje się Kościuszkowe marzenie.

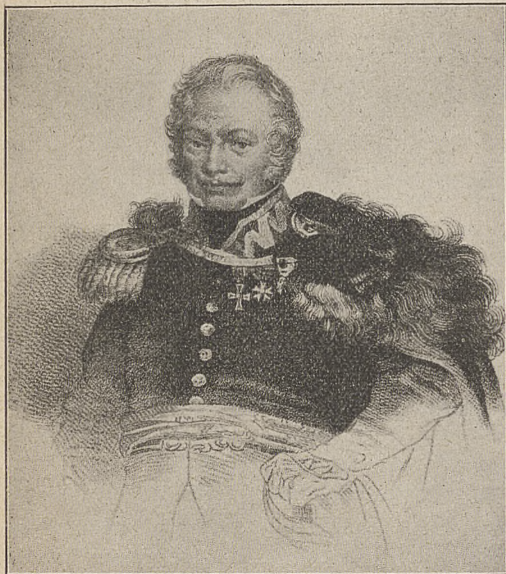
Poczynają budziciele kołatać do małych, ślepych okienek chaty chłopskiej. Kaja się szlachcic w głębi polskiego sumienia, domaga się reformy działacz, opiewa niedolę ludu poeta — do wtóru echom zbliżającej się Wielkiej Europejskiej rewolucyi, od których drgał bruk Paryża, tej kuźnicy myśli polskiej — i wszystkich stolic zachodu.

Podjęli zadanie ludzie najczystsi w narodzie — nie wymierzyli jego potwornego ciężaru.

Nie obudzi się w jednym momencie dziejów uśpiony od wieków lud.

Nie zaufa, nie uwierzy, krzywdzony od wieków — najszczerszej obietnicy. Nie odżyje w odwiecznym niewolniku obywatel — na szczytne hasło walki za Wolność Ojczyzny.

To praca długich lat, gdzie twórczy wysiłek idei, propagandy, haseł, jednoczy się z rozwojem życia społecznego, kiedy dojrzewa w masie ludowej obywatel i dojrzewa do równości klasa panująca.



GENERAŁ JÓZEF DWERNICKI.

Stłumione przybiegały zdaleka hasła i wezwania i nowe nauki.

Gdzie są te kolosalne prace dla kolosalnego zadania: odnowienia krwi w narodzie, odnowienia jego sił?

Po brzegach martwego morza ludowego błąkali się apostołowie z nauką swoją. Nieliczni byli — ci najlepsi.

Goryczą nienawiści oblały się dusze w nieszczęsnym roku 46-ym. Upadła nadzieja i wiara w rewolucyę narodów w 48-ym.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Stajemy na progu zdarzeń owego roku, od którego nas dzieli pół stulecia.

I wówazas, jak tylekroć już w naszych walkach huragan wydarzeń, pęd historyi nie czekał ani na porę ani na gotowość sił. — W nocy 22 stycznia nieubłagane Fatum znowu pyta tych, co dekretowali wojnę o niepodległość:

Gdzie wasza siła?

Nie pytało ich o dary, które posiadali w sobie, o ich wielką wiarę, o poświęcenie bezgraniczne, o nadludzką wytrwałość. — Wojna domaga się tylko siły.

. . . .

W milczeniu słuchał chłop — wiekopomnego Manifestu pierwszego Rządu Narodowego. W tym ponurym, zagadkowym strasznym milczeniu była odpowiedź na pytania, które Los wojny zwraca do powstającego narodu.

Ten straszny zawód, ten okropny nagi realizm życia stanął nagle jak widmo i rzucił swój czarny cień na rok 63-ci, na losy wojny, na bezmiar klęski — na dusze ludzkie.

Tragizm zapasów bez nadziei zwycięstwa nigdy nie występował tak jaskrawie, jak w roku 63-cim. I oto zasadniczy pierwiastek w psychice pokolenia tych lat.

Już w okresie, poprzedzającym wybuch, występuje na jaw mistycyzm, gotowość do ofiarnictwa, wiara w ducha i błaganie o cud, który obudzi lud — jako siłę. Gotowano się do wojny — nie jako do wojny, a jakoby do ofiarnego całopalenia.

A gdy załamała się ta wiara w lud, naród owoczesny, szlachta, mieszczańska inteligencya i klasa rzemieślnicza — poczuły swą straszliwą samotność i bezsilność bez ludu jako całości. W duszy pokolenia zaciężył ból. Dźwigały na sobie dusze ten okropny ból. Z bólem w duszy rządziły rządy narodowe, z bólem w duszy prowadzili wodzowie swe głodne, obdarte gromady, mrące w niesłychanych trudach wojny partyzanckiej z zawsze przemocnym nieprzyjacielem.



GENERAŁ ANTONI OSTROWSKI.

Bez sojuszników, bez wodzów, bez planu, bez broni rozpoczęła się ta niebywała wojna, uparcie i nadludzko wytrwale — Wojna duchem przeciwko samym sobie.

I oto obraz tragiczny:

Ofiarna krew, bohaterstwo najwyższe, bohaterstwo żołnierza bez wodzów, żołnierza bez broni — tego który zawsze skąpić musiał ładunków.

...Bezbrzeżnie tragiczne piękno zapasów słabszego z mocarzem...

Najcięższą w dziejach próbę przezwyciężyła tu godność narodu, rwącego więzy — honor buntującego się niewolnika. — Tyle piękna przesunęło się w krwawym korowodzie przed oczami świata! Taka szczytna tragedya rozegrała się wobec Europy — widza.

Wszystkie siły duszy w napięciu wobec klęski niechybnej, niezawodnej, w przeciąganiu walki ponad wszelką miarę, ku zdumieniu świata!

Ta ekstaza zatracenia, mistycyzm walki — okazuje nam całe piękno duszy owej epoki.

Jeno Fatum Dziejowe — Los Wojny — nie pyta nigdy o piękno, pyta o siłę...

Jakże mocni w duchu, jak słabi w żelaznym uścisku wojny byli ludzie owocześni!

I z duszy narodu jakże odruchowo i samorzutnie wydziera się dzisiaj westchnienie: Gdybyż tego ducha posiadało pokolenie 31-go roku, mające w ręku oręż? Gdybyż powstanie styczniowe miało broń i żołnierza z tamtej wojny!

W tych prostych słowach, tylekroć powtarzanych wykryć należy głęboki sąd, jaki nieraz leży na dnie nieuczonego słowa:

— Bezsilnym jest obywatel bez żołnierza. Napróżno ginie żołnierz bez mocnych, twórczych obywateli. Bowiem siła narodu nie dzieli się na wojnie, a zestrzela w jeden jedyny cel. A dowodem — dzieje każdej wojny i wszystkich wojen.

. . . .

W powstaniu styczniowem w niezliczonych objawach psychicznych, widzimy jakby powrót pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy nowa wiara tępiona przez przemoc starego świata, walczyła duchem, męczeństwem, bezgraniczną ofiarą za królestwo — które jednak nie było z tego świata... Jakże mistyczno-religijny ton odezw, jak płonie w duszach ekstaza poświęcenia, ból zatracenia, idea cierpienia, ukochanie żałoby i modlitwy — pragnienie wiary w cud...

Czyż ludzie z powstania styczniowego byli bardziej religijni niż ich ojcowie z roku 31-go? Nie — bo tragizm walki bez nadziei rzucał dusze do stóp ołtarzy, upodabniał ludzi do męczenników śmiertelnie rozkochanych w swoim męczeństwie.

Jakże często śmiałe, męskie słowa publicystów rewolucyi, dzielne, mądre rozporządzenia i dekrety Rządu Narodowego tonęły w morzu westchnień, żalów, jęków, żałoby, w rezygnacyi żołnierzy i wodzów, którzy chcieli tylko umrzeć za Ojczyznę. Żądza ofiary, męczeństwa, szlachetność, czystość, rycerskość walki, jako ideał. Uduchowiona opinia potępiała terrorystów i sztyletników. Potępiano karanie szpiegów i zdrajców, wieszanie ujętych dowódców nieprzyjacielskich. Wobec najdzikszego nieprzyjaciela, który dobijał rannych, rozstrzeliwał jeńców wojennych, puszczał z dymem wsie i miasta, — wzdrygano się przed również dzikim a sprawiedliwym na wojnie odwetem.

...Ukochanie męczeńskiego drzewa szubienicy. — Rozmodłone tłumy na klęczkach otaczające plac egzekucyi...

...Męstwo ludzi-ofiarników, idących na pewną śmierć. — Garść powstańców, zapędzona w ostęp leśny, w bagna i bezdroża przez armię wroga i dająca się wyciąć — za Ojczyznę...

Nieliczni zdołali się wyłamać z pod potęgi nastroju, z pod uroku zarazy męczeństwa. Nieliczni byli wodzowie, jak Dyonizy Czachowski, nieznużony, bezwzględny, ten który do głębi poznał żelazne prawo wojny i potrafił być twardym — dla swoich i dla wroga.

Pierwowzorem, ideałem męża stanu i wodza epoki będzie raczej człowiek wielkiej i świętej dla nas pamięci, członek Rządu Narodowego — Traugut, który w bólu i w męce bez nadziei wypełnia wszystkie swoje nadludzkie trudne obowiązki, — a gdy do konspiracyjnego biura Rządu wkroczy wojsko, aby go uwięzić — spływa nań ulga wyzwolenia z nadludzkiego trudu. Powita on szubienicę słowami: Dzięki Ci, Boże — nareszcie.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Z bólu wcześniejszych o lat niewiele czasów, z głębi duszy tego samego pokolenia zrodziła się pieśń, która aż do naszych dni uchodzi za tradycyjny hymn narodu:

„Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
„Do Ciebie Panie bije ten głos!
„Skarga to straszna — jęk to ostatni...
. . . .

W tej pieśni cała dusza pokolenia!

Czcimy ją jako drogą pamiątkę, jako wyraz bezmiernego piękna.

Ale nigdy nie będzie ona pieśnią naszych dni i naszych dusz, które pod groźbą zaguby domagają się m ę s t w a, w o l i i s i ł y!

. . . .
. . . .

Pół stulecia dzieli nas od tamtych czasów. Dusza syna staje przed duszą ojca i z miłością rozpamiętywa.

Obróćmyż oczy na siebie. Spojrzmyż śmiało na nasz czas!

Na te dziwne dni nasze, niespokojne, niepewne, gdzie zawierucha wypadków europejskich może nas zagarnąć żelaznym pierścieniem wojny, nie pytając o naszą zgodę. Na nasze dni, kiedy jedni nie wierzą w wojnę inni ją już widzą. Kiedy w Królestwie dusze tkwią jeszcze w powszednim dniu, a w Zaborze Austryackim Polacy stają pod bronią i dokonywują niesłychanych przeobrażeń społeczno-politycznych ku zespoleniu sił...

Bądźcież sprawiedliwi. Bądźmy surowi i dla siebie. Jakże inna dusza nasza, jakże zmienioną do gruntu budowa społeczna Polski!

Nowe, kolosalne siły, nowe, świadome siebie i pragnące żyć potęgi! Polski robotnik — polski chłop.

A stare siły? Tradycyjne „czoło narodu“? Dziedzice i potomkowie warstwy, która przeżyła i przecierpiała samotna rok 63-ci?

A całość sił dwudziesto-milionowego narodu?

Czyż znowu powtórzą się dzieje i powróci stara klęska czyjegoś osamotnienia w walce? Jak samotną była szlachta i mieszczańska inteligencya w roku 63-cim?

Jak samotnym był bohaterski proletaryat polski w roku 905-6-7-ym?

W nowych czasach, nowoczesna i inna musi być z dusz i umysłów płynąca polska mądrość stanu. Wszystko inne! Jedno zostanie wiecznie to samo.

Jak ongi w noc listopadową, jak w przeddzień powstania styczniowego, tak i nasze pokolenie, nasza dusza, któregoś dnia — kiedyś — a może jutro! usłyszy odwieczne pytanie, które zwraca do pragnącego żyć narodu — Fatum Dziejowe — Żelazne prawo Walki o Byt — Los Wojny:

— G d z i e t w o j a s i ł a?



MICHAŁ SOKOLNICKI. WÓDZ I SZEF SZTABU W WOJNIE 1831 ROKU.

Historya wojen nie zna wypadku, aby dzielny szef sztabu poprowadził słabego głównodowodzącego do zwycięstwa". Tę teoryę klasyka nowoczesnej taktyki, Balcka, możemy wypróbować na przykładzie kampanii wiosennej, od marca do maja 1831 r. Głównodowodzący Skrzynecki był pełen błyskotliwych ambicyi. Pełniący przy nim rolę szefa sztabu Prądzyński miał w głowie nieustające bogactwo planów. Zdawałoby się, cóż naturalniejszego, jak sprzymierzenie obu tych ludzi dla dobra armii, wojny i narodu? W rzeczywistości stało się przeciwnie, ku zgubie wszystkiego i powstanie upadło przez nieudolność kierownictwa wojny.

Przenieśmy się wyobraźnią do głównej polskiej kwatery. Generalicya żyje tradycyą napoleońskich wojen, błyszczących mundurów pełen jest sztab, potęgę władzy podnosi świetność pozorów. Wódz — hetman zmartwychwstałej Rzeczypospolitej — równy rządowi i obok rządu stojący, następca dopiero co strąconego dyktatora, wyniesiony na szczyty, marzy jeszcze o wyższych. Ale nie coraz większa dzielność czynów jest tej ambicyi przedmiotem. Nurtuje w nim polska choroba: łakomstwo pozorów, pycha frazesu i tajone wygodnisia lenistwo. Niema w nim nic tej cechy charakteru, co Napoleonowi dała wielkość: bezpośredniego stosunku rozumu myślącego do rzeczy istniejących. Na wszystko patrzy przez wyobrażenia, przez złudzenie własne, przez samo-omamienie zmysłów, czy formułki. Ci nierzeczowi Polacy sposobem lichych artystów, nie nazwą nigdy rzeczy po imieniu. Scholastycy i megalomani, ich myślenie podobnem jest do tytułu ośmnatowiekowego podręcznika, który się przez kwadrans czyta, aby nic nie zrozumieć. Jest to zabicie prostego wniosku z danej rzeczywistości, jest to istnienie naturalnego instynktu. Instynkt i prostość będą zawżdy żywiołem walki, a nie przewlekłość roztrząsań i ozdobność urozmaiceń.

Przychodzi Prądzyński do Naczelnego wodza ze swym świetnym planem kampanii. Naprzód wytrzymuje długie czekania w przedpokojach, bo wódz zajęty gastronomią i polityką. Często elukubraty pisane do doktorów czy famulusów europejskich dygnitarzy, częstokroć kwestya sandacza, potrawy specyalnie sprowadzonej z Francyi, wielkanonego m e n u dla dygnitarzy sejmu, przerywa rozpoczętą naradę wojenną. Zapytają się niektórzy ze zgorszeniem: czemuż Prądzyński, mąż wojenny w łeb nie wypali wodzowi? Zapominają o dystansie. Wodza otacza nimb narodowej chwały, wynosi go szalona władza, jaką dzierży w ręku; usta jego są miodopłynne, łatwo przekonywa, jak najtęższi sejmowi polscy gębacze, umie sobie kaptować. Na twardy i śmiały czyn trza żywić wielką ambicyę; wolę rządu, instynkt władzy trzeba było mieć wśród tych, co chcieli inaczej. Ale rewolucya 1831 roku, wytworzywszy swoją własną ideę, mając w sobie ducha, pełnego dawnych polskich cnów i dostojeństwa, wielkich śmiałości i zamiarów, nie umiała stworzyć swojej własnej hierarchii, swojego aparatu rządzącego, któryby tę ideę w czyn zamienić umiał. Hierarchia pozostała dawną, była do końca rządem ugody i przeciwników wojny. Jakże przeciwnik wojny, z wojną niezrośnięty aż do ostatnich, najtajniejszych duchowych pobudek, wojnę poprowadzić zdoła, wojnę, która od

początku do końca wymaga szalonej zawziętości łamania siebie i innych śmiałością postanowień?

Gdy wreszcie Prądzyński plan przedłożył, zaczęły się dyskusye bez końca, wahania i rozterki ciągłe między ludźmi o planie rozstrzygającymi. Wtedy jak puszka Pandory, otwiera się cudne bogactwo umysłu Prądzyńskiego: wszystkie pomysły klęsk wroga, wszystkie możliwości własnego zwycięstwa, wylatują zeń jak oszołomione ptactwo na swobodę; lecz puszka się zatrzasnęła, pozostawiając na dnie swojem nieokazaną przed ludźmi nadzieję i wiarę w zwycięstwo. Bezradne jest to bogactwo myślowe, nie umie ono łamać, nie umie dłonią bystrą chwytać okazyi, pokazuje na nią tylko, jak sen na człowiecze przywidzenie. „Sen — mara, Bóg — wiara". Boską możność mieli wojskowi polscy w 1831 r. Ale brakowało im boskiego pierwiastka ufności w siebie, który daje żądzę siły i władzy i aureolą zwycięstwa pogodne czoło rycerza wieńczy.

Nikczemność słabości duchowej z jednej, bogactwo wynalazków myślowych z drugiej strony, i żadnego wiązadła charakteru, żadnej dźwigni woli — więc wszędzie kompromis między słabościami, więc zawsze półśrodek śród wyboru środków tylu i nic, jedno wątpienie i wahanie w wykonaniu każdodziennem, w spóźnianiu, niedołęstwie i cofnięciu dwa kroki wstecz przed pójściem krok naprzód — oto tragedya tych trzech miesięcy i powód tego, co po nich nastąpiło — stulecia naszej niewoli. Rzadko w dziejach mieliśmy wojenność świetniejszą: bohaterskie męstwo prostych żołnierzy miało obok siebie genialność stratega-myśliciela. Ale największe myślowe bogactwo niczem jest bez wyrobionej kultury woli. I najświetniejsza umiejętność nie zastąpi nigdy charakteru.



MYŚLI Z PISM MAURYCEGO MOCHNACKIEGO.

Czemu się dotychczas nie wiodło Polszcze w usiłowaniach odzyskania niepodległości? To łatwo pojmiemy, zważywszy jakim trybem szły wszystkie nasze powstania. Charakter ich taki: zawsze w początkach zapał powszechny, wszystko ogarniający w narodzie, wszystko porywający z sobą, nieprzełamany, niczem niezwyciężony. To samo w każdem powstaniu poświęcenie, porywczość, śmiałość posuwająca się nieraz do płochości; też same cnoty osobiste i publiczne. Ale zarazem obok tego i te same przy-

czyny upadku sprawy zawsze pomyślnie zaczętej, zawsze potem niedołężnie prowadzonej, ginącej zazwyczaj nieładem. Nigdy u nas nie korzystano z poprzednich doświadczeń; stąd też w każdem powstaniu jednakie prawie błędy wojskowe i polityczne; najbardziej zaś to w każdem podobnem zdarzeniu odnawiające się, ku końcowi zwłaszcza, omdlewanie i upadanie na duchu, kiedybygo najwięcej wznosić wypadało; to gorszące i dobrowolne rozpraszanie sił nie małych, jeszcze niestarganych!"...

*
* *

„Żadne powstanie polskie nie zasłużyło sobie na napis: usque ad finem"...

*
* *

„Nie podlega zaprzeczeniu, że tylko przez nowe powstanie potrafimy odzyskać całość i niepodległość; a zatem to, co poprzednie powstania daremnemi czyniło, koniecznie zgłębić wypada"...

*
* *

„Dla przestrogi na przyszłość, dla odniesienia korzyści z tylu smutnych doświadczeń, połóżmy tedy na zasadę, starajmy się ugruntować w przekonaniu narodu tę opinię: iż u nas w powstaniu więcej liczyć trzeba na ruch mas, na działanie całego ludu, niżeli na wojsko regularne, które jest tylko drobną jego cząstką, którego nigdy tyle nie będziemy mogli mieć w początkach wojny, ile trzeba do pokonania bojem systematycznym nieprzyjaciela liczniejszego i dobrze zorganizowanego. Cośmy tylko klęsk ponieśli, wszystkie przypisać należy lekceważeniu tej najpierwszej maxymy narodowego powstania, nieumiejętności albo niechęci poruszenia mas ludu".

*
* *

„Insurekcya, to zmartwychwstanie ojczyzny, powinna mieć jeden tylko kierunek; a zatem we władzy jedną tylko opinię"...

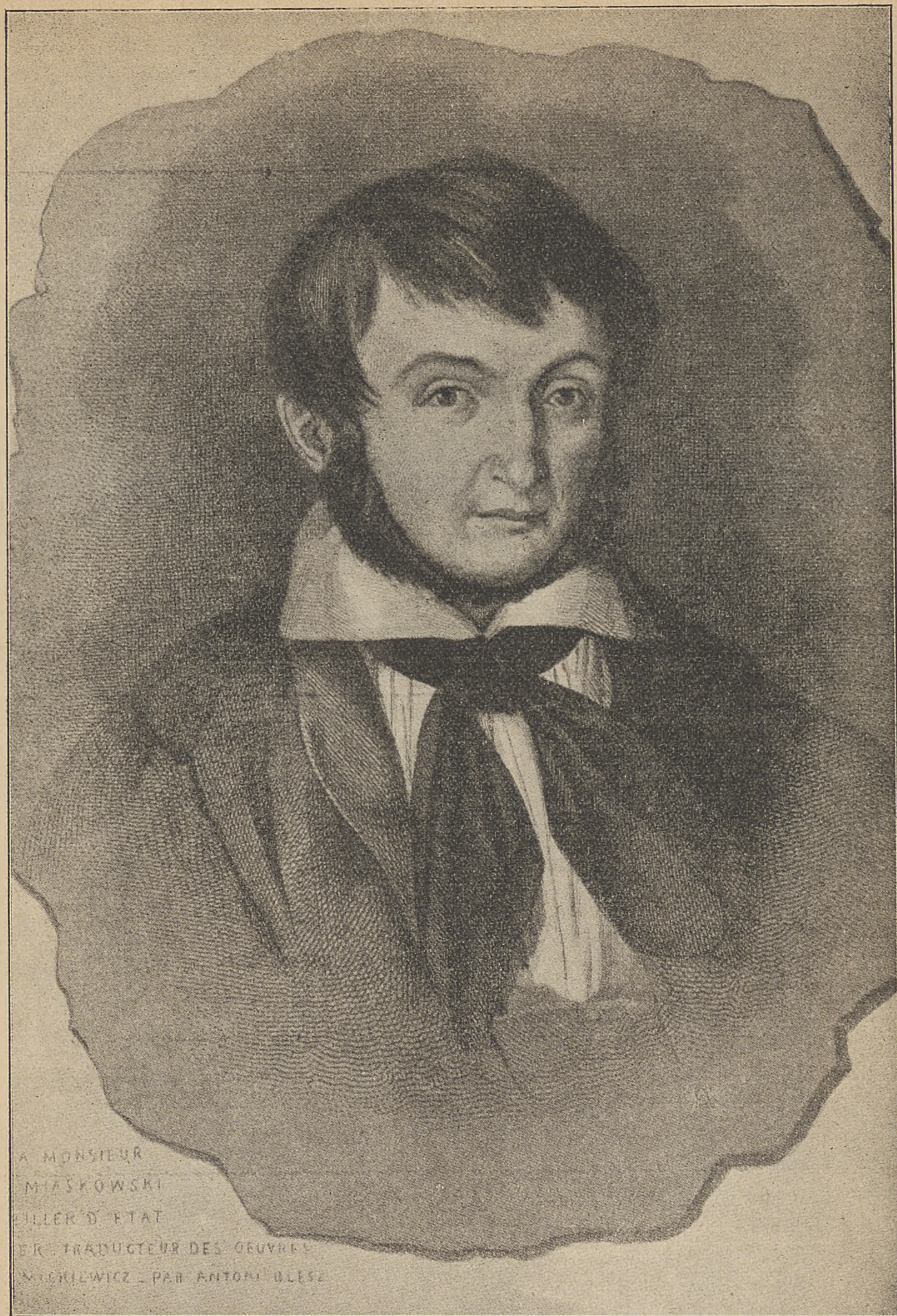
„Władza, reprezentująca różne opinie, złożona z różnych opinii przestaje mieć jeden kierunek; a zatem jest słaba; a zatem sprawa niepodległości kraju prędzej lub poźniej upada".

*
* *

„Zginęliśmy dla tego: że nie większość ale mniejszość, po wszystkie czasy, była u nas narodem".

*
* *

„Historya przekazała nam tę prawdę: że siła, jaką naród zewnętrznego nieprzyjaciela pokonać zdoła, zostaje w ścisłym, bezpośrednim stosunku



MAURYCY MOCHNACKI.

z siłą jego materyalną i m o r a l n ą, wewnętrzną. Dla powiększenia pierwszej, potrzeba ostatnią pomnożyć, natężyć“.

* * *

„Nie gabinety, ale l u d y są naszymi sprzymierzyńcami. Nie konający porządek rzeczy w Europie sprzyja naszemu powstaniu, ale nowy, mamiący świetnością swoją, r e w o l u c y j n y i straszny, jak to wszystko, co jeszcze nie jest, a czego z niecierpliwością oczekują ludy, potęgą i mocą swoją daleko przechodzące królów i ministrów, których panowanie znoszą jakby przez wzgląd na dawne zasługi“.

* * *

„Żeby to, co runęło podźwignąć, trzeba w i e l k i e j s i ł y; żeby wywołać z zatracenia to, co przepadło, nadzwyczajnej potrzeba energii ducha i sworności umysłu. W rozwijaniu tej siły, w nastręczaniu coraz nowych podniet zwątlonemu pracą i znużeniem duchowi publicznemu, w podnoszeniu jego energii, mieści się wielka myśl r e w o l u c y i“...

* * *

„W skutku, ruiną silnej sprawy, okropnem doświadczeniem — przekazuje rewolucya nasza potomnym tę naukę: że powstanie żadnej partyi (barwy) p o l i t y c z n e j mieć nie może i żadnej funkcyi uorganizowanego stanu objawiać nie powinno. Jednym tylko środkiem dopiąć mogła Polska celu usiłowań swoich: władzą j e d n e g o, władzą żołnierza, a zatem dyktaturą bez koloru“.

* * *

„Lud powstający niechaj będzie nakształt padalca, który rozpłatany żyje w każdym kawałku, w najdrobniejszej nieledwie cząstce swojej. Taka jest nasza rewolucya, nigdzie nie powinna była mieć swego środka. Kto da serce jakiej rzeczy, podaje zarazem sposób zabicia jej od jednego razu przez uderzenie w ten jeden punkt śmiertelny“. (M. M. ma tu na myśli znany plan Chłopickiego skoncentrowania całej siły powstańczej armii pod Warszawą. *Przyp. Red.).*

* * *

„Z trzech części, z trzech rozdziałów składa się umiejętność rewolucyjna, którąby potrzeba nazwać umiejętnością dziewiętnastego wieku. Pierwsza część uczy, jak chować umarłych. Druga na tem zależy, żeby nie dać długo umierać konającym. Trzecia nakoniec, która nas najbliżej obchodzi, jestto s z t u k a w y g r z e b y w a n i a ż y w y c h“...

* * *

„Życzyćby potrzeba rewolucyonistom cokolwiek więcej k a r n o ś c i, niżeli jej mają w tych czasach. Rozprężenie do niczego nie prowadzi;

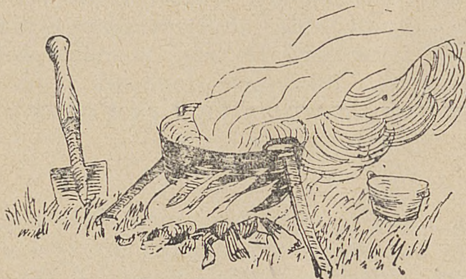
z emeut, z cząstkowych poruszeń, z luźnych wypraw — nic nigdy dobrego nie wypadnie. Jedna emeuta jest zła, ale dlatego, że tylko jedna. Gdyby ich było pięć, dziesięć, sto w różnych punktach, a w jednej porze, wszystkieby były wyśmienite". (Słuszność tej zasady potwierdził rok. 63. *Przyp. Red).*

* * *

„Potrzeba, ażeby wolność została carem w swojem państwie".

* * *

„Wolnością w stanie rozprzężenia, w stanie mrowiska, w stanie kongregacyi pielgrzymstwa — nie pokonamy despotów".



HR. MARYA-JEHANNE WALEWSKA. SOBOLE.

...Pomnij się lisie, siedzi tu soból.
(*M. Rej*).

Na balu w Bucniowie, u pana Piotra Potockiego, wystąpiła panna wojewodzianka lubelska w wyciętej mocno sukni.

Nożenkami z koralu jadano wówczas w Polsce. Koni było w każdej pańskiej stajni więcej, niźli tomów w jego bibliotece. Co światlejsi wiedzieli, że kaplicę sykstyńską w Rzymie malował archanioł Gabryel i że orbis terrarum kończy się, może nie o wiele dalej, ale w każdym razie nie na Porohach. Szabla była ciągle jednostką mierniczą.

Z niewiast podpisać się umiała co dwudziesta. Trefić włosy umiała każda.

Haftowały wierzchy do czapek, ornaty sztywne, i suszyły zioła apteczne, umiejętnie: dzięgiele, bugwie, ślazy i kopytniki. Każda wiedziała, że jaszczurka żywcem posiekana, w oliwie usmażona i z żółtkami jaj przecedzona, tworzy maść przednią na porost włosów — że na Wielką Chorobę dziecinną skuteczny jest tylko kret, spalony w cynowym garnuszku i na proszek subtelny ususzony — że kobiecie niepłodnej pomoże tylko woda, owa, która płynie z ust konia, na ten czas gdy pije. Każda wiedziała, że święta Apolonia jest patronką od bolu zębów, święta Syra od kamieni żółciowych, a święty Andrzej od apopleksyi.

Przystojność nakazywała niewiastom ukrywać starannie wszystkie ciało, wyjąwszy twarzy i rąk, toteż zdumiał się wielki świat szlachecki, gdy na balu w Bucniowie, u pana Piotra Potockiego, wystąpiła panna wojewodzianka lubelska w wyciętej mocno sukni.

Widywano już tego rodzaju nieprzystojności w Warszawie, gdzie rządziła moda francuska, przez jejmość królowę przywieziona, ale na wsi, we dworzyszczu szlacheckiem, jako żywo nie widziano czegoś podobnego.

Głośno się gorszyć jednak brać herbowna nie śmiała, zbyt możnym był bowiem ród Potockich i Firlejów, a zresztą mówiono o pannie wojewodziance lubelskiej, że dnie jej policzone. Płuca miała chore, czy serce — urzekł ją ponoś jeden tatar wzięty w niewolę. Wzywano do niej wszystkich medyków świata — dawano dekokty z drzewa sandałowego, piła mleko gęstowane z bluszczowym kwiatem, w śmietance wielbłądziej ją kąpano, pełnej kwiatu grzebieniowego, korali tartych i cytwarowego ziela. Okadzano ją myrrhą, wprost z Jerozolimy przez astrologa królewskiego przywiezioną — nie pomagało nic. Resztkę tedy życia wodziła sennie po okolicznych dworach, małomowna, pogardzająca człowiekiem.

Woli umierającego przeciwić się nie można — więc nie przeciwił się jej rodzic, pan Piotr Firlej, skwapliwie spełniając każdą jej zachciankę, przez palce patrząc na jej wymysły. Była dzieckiem jego ostatniem, jako że obaj synowie na polu, w potrzebie z Turkami, zginęli.

Niemniej osłupiał, gdy na tle groźnych szyszaków, tarcz, buław hetmańskich, koncerzy, multan i buzdyganów — na tle koltryn szacownych, w rycerskie przygody malowanych — gdy zalśniła biała, pańska skóra jej ramion, obnażonych głęboko, aż po rozdział wątłych piersi.

Młodsi otworzyli usta i patrzyli w nią z tym zabobonnym lękiem, z jakim patrzymy na młodki, na katafalku leżące, cudacznie przybrane w wieńce i welony.

Szczególny przebiegł szmer przez komnatę, gdy stanęła pod olbrzymią melozyną i płomienie świec w nią uderzyły, od których poróżowiał splendor jej ramion, a wyzywający kanak z pękiem feniksowych piór, rzucił blask stokrotny na bogaty, sztywny szyszak jej włosów i na bramkę z kałuckich pereł, przecinającą jej czoło.

Ręce jej nie wyciągnęły się do nikogo. Cienkie i ziębłe, w rękawy się od dotknięć i pocałunków chroniły.

Salę przeszła wzdłuż, arogancka, nie odpowiadająca na pytania, interpelująca niegrzecznie i wzgardliwie, zresztą obojętna i jakby z zaświatów zeszła, a nie w zaświaty idąca. Uśmiechnęła się do psa, który siedział za panem Koniecpolskim, poza tem, wzniesionemi brwiami — dwoma płatkami złotego pluszu — nie przestawała się dziwić niezmiernie zebranym gościom, chodząc tam i napowrót.

Inaczej z pewnością nie chodziła po lesie, albo po gęstych szpalerach swego ogrodu.

Najpierwszym magnatom, sunącym do powitania, zaledwo głową kiwnęła, zdaleka patrząc przepyszną magią swych zimnych, zamglonych oczu na ich zażenowane zdumienie.

— Książę pan na Nieświeżu kłania ci się, córko — szeptał ojciec.

— Widzę, — odpowiadała obojętnie i odwracała głowę, lub nieznacznie nachylała ją w ukłonie, który był raczej obelgą.

Sojki szlacheckie, tak zazwyczaj rozmowne, milczały zestrachane, żegnając się w duchu krzyżem świętym, gdy przysuwała się bliżej, owa grzeszna wizya nagich ramion. Pociechą im była myśl, że to owej dziewczyny bal zapewne ostatni.

Znikła im zresztą z oczu za kotarą z perskiego altembasu.

W drugiej sali mniej rojno było i okna porostwierane na oścież, dla duszności na którą cierpiał pan hetman Potocki.

Rzezane krzesła tuliły się do ścian, do kłębiących się labrów herbowych. Nadproża zdawały się sypać na głowę wchodzącym złoto-zielone pióra kogutów, które się biły tak od stu lat, zaklęte w drzewo. Blachą srebrną powleczone stoły, zamczyste skrzynie, zegary przez szacunek nigdy nienakręcane, wszystko to czyniło salę małą, nabitą, ścieśnioną, tak, że czekało się tylko, kiedy ze ściany prawej wyciągnie ramiona piękny, acz ze skóry odarty rycerz w szerokich pludrach i padnie w objęcia bogobojnej mniszki, wzywającej niebios na ścianie lewej, aby świadkiem były jej zagrożonej niewinności.

Panna wojewodzianka patrzyła w ogród, cały rozświetlony pochodniami, które trzymały kupidyny, tak nagie prawie jak ona.

Światła powlekły ogród welonem, pyłem przesypały szpalery i tabety. Delfiny wyrzucające z paszcz wodotryski, posiwiały, a dno ich pysków rozwartych, jak straszne czarne wrota, tworzyły plamy ostre w mglistych, białawych zarysach basenu.

Na gładką taflę nieba wypryskiwały gwiazdy, jak wyłuskiwany ze strąków groch, jedna po drugiej, a zielonawy półksiężyc wyszedł i zatrzymał się akurat na szczycie szklanej wieży, czyniąc z niej przeźroczy meczet.

Bożek pogański, zamszony, z wieńcem róż na głowie nachylał się z cokołu i patrzył w oczy panny wojewodzianki. Tors jego odbijał się w wodzie, a ręka ginęła w mroku.

— O pójdź do winnic pańskich, chora królewno. Choć jest zimno, od oczu twoich staje szron i wino się rozzłoci. Podasz winu i mnie do rozkoszy usta...

Przypomniała sobie nagle, jak jej dziś podziękował Turek jeden ranny, za jałmużnę. Nie powiedział: „Bóg zapłać“, ale pochylił się do ziemi i rzekł:

— Niech cię wynagrodzi miłość tego, o którym myślisz...

Nie wynadgrodzi jej więc nikt, bo o nikim nie myśli.

Raz we Włoszech, z ojcem jadąc do papieskiego medyka, widziała lwy w klatce. Lew, złożywszy nogi przednie na krzyż, wyciągnął się, senny, najedzony, przymrużonemi ślepiami patrząc przed siebie. W przegródce obok, żarła jeszcze lwica duże, krwawe ochłapy. Po chwili wypadła w podskokach do przegrody samca — ogon naprężyła, złote cielsko wygięła w rozkoszy dokonanej uczty i pochyliwszy łeb niewolnicy, liznęła trzykroć łapy lwa.

Nie dziękowała mu za dary spożyte — (wiedziała, że je przynosił brodaty dozorca) — ale dziękowała mu za r a d o ś ć z darów spożytych — za możność radowania się — za radość życia. On był wyraźną przyczyną jej prawa do radości.

Tak zrozumiała łwicę panna wojewodzianka i poczuła zdziwienie, że mogła się cieszyć czemśkolwiek, ona, nie mająca nikogo, komuby dziękować za radość mogła. Nie zostawi za sobą niczyich oczu miłych, niczyich ust słodkich — nie oparła o niczyje ramię głowy dumnej i niepokalanej, nadążając własnem sercem, za biciem czyjegoś serca.

Wyrodziła się zapewne.

Była jakimś gołębiem o trzech skrzydłach — jakąś sarną o błękitnych źrenicach — jakąś pomyłką natury, czy jedyną jej prawdą, pośród pomyłek.

— Nie zaziębisz się, Marzeńko? — spytał nagle usłużny głos.

Obróciła się niechętnie.

— Bo ja wiem? Może się i zaziębię... i patrzyła dalej w ogród, jak w topiel.

Tymczasem rozchichotała się nieunikniona galarda, na trzynastostrunnych altówkach, sztortach i fletach. Pary ruszyły w tan. Zgiął się przed nią w kabłąk pan Jędrzej Kazanowski, podała mu rękę i poszła za nim jak widmo, królewską głowę niosąc wysoko ponad rozhuśtany tłum.

Co chwila przebijał się blask jej ramion, poprzez zwartą, stubarwną gromadę, tembardziej ciepły i jasny, im bardziej złotogłowia i aksamity były zimne i surowe.

Co chwila majaczyła jej twarz liliowa pośród zgrzanych lic tancerzy i krzyczał rozdźwięk tą zaświatową, dumną, niełaskawą twarzą, a ciepłą, jasną, ludzką zjawą jej obnażonych ramion.

Tłum zaszyty w złotogłowia stawał się dla niej coraz bardziej tem, czem futro dla rubensowskiej Heleny Fourment, ze słynnego portretu: spotęgowaniem jej nagości.

Obnażano ją coraz bardziej. Ludzie, światło, muzyka, poczerniałe ściany, wszystko pracowało na to, aby nagość jej ramion występywała niesamowiciej i brutalniej. I snuła się plamą jasną, za którą biegły zestrachane oczy, i w lot chwytały ją coraz to inne ramiona, prowadząc w nieprzerwany tan.

Atmosfera rozgorzała i roztętniła się.

Pan Szczęsny Sulatycki, dworzanin panów Potockich, przebiegł salę i stanął przed nią. Dyszały młodością jego rysy, wrzały kipiątkiem pogody i siły jego źrenice.

— Miłościwa panno, czy mogę prosić?

Spojrzała mu w głąb oczu, krótką, dorywczą ironią. Od brwi do ust przeleciał jej uśmiech szczególny i podała mu ręce.

Zakołysali się lekko, w takt luteń i padwanów — daleko się od siebie trzymając.

Rezedą pachniały mu jej młode ramiona, struchlałemi ustami wchłaniał ją całą, jak hostyę — zataczając się na myśl, że sprofanował świętość katafalku, naruszył powagę śmierci, szacunek winny umarłym, skoro trzymał to pajęcze cudo przy swej piersi. A jednak grała krew pod jedwabną skórą jej obnażonych ramion — więc mówił jej bez tchu i bez słów:

— Kładziesz nieśmiertelniki, aby był grób. bo przecież nie ma grobu. Niema grobu. Rozwarła się ziemia i pochłonęła wszystkie cmentarze...

Coraz bardziej pachniały mu rezedą jej młode ramiona, ale oto zatrzymała się zmęczona, przed gromadą dworzan i oficerów.

Pan porucznik Dobek-Łowczycki spiesznie podsunął jej krzesło. Siadła, oparła głowę o gobelin i przymknęła oczy. Wówczas pan Łowczycki zwrócił się ze śmiechem prowokującym do Sulatyckiego.

— Chciałbym, abyś waćpan tyle odwagi okazał w polu, co dziś na niniejszej sali.

— Jakto?

Łowczycki wciągnął go za rękaw do sąsiedniej sali, pod koguty, wydzierające sobie pękami złoto-zielone pióra. Reszta dworzan i oficerów poszła za nimi.

— Błazen jesteś — plunął mu w twarz. — Myśmy oficerowie, a przecież nie śmieliśmy prosić do tańca pannę wojewodziankę, a ty dworska polewko, śmiałeś z nią tańcować, z wnuczką hetmana wielkiego koronnego?!

Potakiwali oficerowie, milczeli dworzanie. Sulatycki zbladł. Rozumiał i nierozumiał. Odczuł nagle, nie gniew do Łowczyckiego, ale szalony, nieugruntowany, rozpaczny żal do panny wojewodzianki. Zdławił go ten żal, a w krwi cisnącej się do oczu, błysnął mu niejako uśmiech jej niełaskawych niemiłosiernych ust, gdy ręce do galardy mu podawała. Następnie — zupełnie machinalnie, drogą niejasnej przyczynowości, jakgdyby czynił rzecz, absolutnie poza obrębem potrzeby i konieczności stojącą — sięgnął do szabli.

Skrzyżowały się wartkie, obelżywe słowa, skrzyżowały się i miecze. Wśród szumu tanecznego i chichotu muzyki, nie dosłyszano walki. Biły się koguty na nadprożach, bili się ludzie na szklących taflach pawimentu.

Ktoś wrzaskliwie deklamował w drugiej sali:

Włoski mieszkańcze, cóż twoje nektary,
Cóż twoje wina, przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistej i szarej —
Miód prosto z nieba spuszczonym być musi..

Tymczasem runął Sulatycki na wznak, łeb odbił mu się o czarny marmur odrzwi, o jakiś labr Firlejowskiego herbu i zesunął się na podłogę*). Łowczycki wycierał szablę o czerwień płaszcza (na której krew nie pozostawia śladu) i wtedy właśnie stanęła w progu panna wojewodzianka lubelska, wsparta na ramieniu ciotecznego brata.

Oficerowie jęli się tłumaczyć pospiesznie — dworzanie milczeli. Pan Lasocki zmarszczył brwi. Trochę niesmaku, trochę niezaradności zabłysło w jego oczach:

— Jakkolwiek ono jest, za drogo go kosztował, Marzeńko, ten zaszczyt tańczenia z tobą...

Panna wojewodzianka popatrzyła na trupa, a potem w okno — znowu na wieżę szklanną, od której oderwał się księżyc.

— Tak sądzisz, mości podczaszy? — rzekła z roztargnieniem.

---

*) Zajście historyczne, podane w agr. Trembowelskich, powtórzone w „Prawem i lewem" Łozińskiego.





JOACHIM LELEWEL.



K. M-CKI. O SWIATŁO KRYTYKI.

Uczestnicy ruchu wojskowego w Polsce patrzą z ciekawością na ten objaw ucieszny:

Póki byliśmy przed narodem polskim garstką wołającą o ideę, póki głos nasz tonął w przepaściach codziennych polskich zapomnień, pókiśmy sami nic nie mieli na obronę swojego słowa, jedynie wiarę w prawdę wewnętrzną:

Póty modą było lekceważenie, zgrzyt śmiechu się o nas ostrzył, płaz dziennikarski o imię nasze wygodnie się wycierał, a bronią w stosunku do wojskowej myśli polskiej ulubioną były: potwarz, szyderstwo i niechlujna plotka.

Gdyśmy porośli w pierze, głos opinii modnej zmienił się do gruntu. Tak niedawno jeszcze wydawało się tylu ludziom w Polsce, iż trzeba na to poprostu być idyotą albo... Prusakiem, żeby wojenną niepodległość Polski budować. Dzisiaj — o dziwo! — idea polskiej wolności bodaj że znalazla prawo obywatelstwa dla siebie w Polsce. Dzisiaj — inaczej. Gdzież są wyśmiewce? dokąd się pochowali plotkarze — płascy? Czemu milczycie, nauczyciele wymowui prawowitego spokoju?

Może to milczenie jest jeszcze jednem świadectwem o prawdzie naszej. Może też prawdą jest, że w kraju niewoli idea musi mieć najpierw pięść, aby dopiero miała prawo. Może nawet dla przyszłości dobrym znakiem jest, że wojskowość stała się nietylko kierunkiem, ale prądem, ale żywiołem.

A jednak my, młodzi wojskowi polscy, chcielibyśmy jeszcze czegoś — i oto czego:

Potrzeba, ażeby nasz ruch wojskowy, jako przełom w polskiej naturze, jako w charakterze publicznym Polaków odmiana najgłębsza, dokonał się w świetle dziennem idei. Potrzeba, aby nasza młoda czynność okrzepła na gruncie swobodnej krytyki. Konspiracya dotyczy środków i czynności, jest złem i zdrożnem konspirować ideę. Dlatego z tą ideą jawnie idziemy w świat, aby jawną spotykać odpowiedź tych dusz i krytykę tych umysłów, które nam są przeciwne; aby nawet u siebie samych wywołać zbawcze zarzewie krytyki, która nie pozwala, aby niepewność, niezdecydowana półchęć zakradła się tajnym podstępem do duszy, nieświadomie podcięła jej czyn. wiarę jej czynu i krytyki, która oświeca, oddziela, uświadamia, a pokazuje, iż to, w co człowiek wierzy, jest słusznem.

W Polsce cywilnej panuje obyczaj ciekawy:

Jest ogromnie wiele solidarności i zgody „w gębie“. Więc solidarna umowa milczenia przeciw idei; solidarny krzyk strachu przed śmiałością, czy potępienia na inną wiarę; solidarny poklask dla mody i nowinki. Niechaj się kto odwróci i krytycznie zapyta: — a gdzież zgoda? gdzież jedność? zaraz go pytają.

Lecz niechaj dojdzie tylko do czynu, do wykonania w imię powziętej tak jednomyślnie intencyi — zaraz sto zdań się objawi, sto wątpliwości po kątach się rozpełznie, sto zapóźnych żalów i zawodów załka.

Chcemy, wojskowi polscy, aby się stało inaczej. Karność nasza jest karnością czynu. Stwierdzamy dobrowolną dyscypliną wojskową, że gdy robota zbiorowa w społeczeństwie zaczęta, gdy padnie jej władzy nakaz,

nie może być wahań, ani wątpliwości, ani szemrań, ani nawet ukrytych pod świadomością w człowieku zagadek, niechęci, źródła zwątpień.

Ale dla idei naszej pracować, myśl czynu naszego tworzyć i przetwarzać chcemy w świetle dziennem myśli krytycznej.

Jakże często w pracy ideowej u nas, przy braku kultury umysłowej, kultury etycznej i estetycznej, idea łączy się z zarozumiałością lub spotyka się z drwiną. Zaś przeciwnie, idea wymaga u tego, który ją w sobie poweźmie, zarówno jak u tego, który ją zwalcza, nadewszystko prawdy. Wołamy więc o tę prawdę pomocną wszystkim, o światło krytyki!



CZESŁAW WROCKI. WYBIERAJ!

Szła sobie pewnego razu bujna i niefrasobliwa Młodość drogą prostą i równą, szła wprost przed siebie, uśmiechając się w drodze pogodnie do słońca, do życia, do marzeń własnych i nadziei, co niby kwiaty barwne i wonne drogę jej zaścielały. Z purpurowych, pełnych ust ciskała w przestrzeń pieśń radości i upojenia zdrowiem, młodością i siłą, pozdrowienie niebu, słońcu i ziemi.

— Jakże pięknem, jak przedziwnie prostem i dobrem jesteś o Życie! — szeptała radośnie.

Szczytom, co na krańcach widnokręgu kąpały dumnie w słonecznych blaskach swe głowy uśnieżone, śmiałe rzuciła wyzwanie:

— Jakżeż śmiesznie bliską i łatwą jest droga na szczyty! I pocóżbym miała szukać innej drogi i zbaczać z tej oto najprostszej, gdy wszakże ona najpewniej i najłatwiej na owe szczyty mnie zawiedzie. O zaiste! Najłatwiejszą jest do celu i do chwały droga prosta, droga prawdy, i jest też najpiękniejszą. I niema nic, ani nikogo, ktoby mnie z drogi tej zboczyć przyniewolił!

Tak myślała bujna i beztroska Młodość, i krokiem giętkim, niemal taneczym, biegła ku szczytom.

* * *

Nie wiele ubiegła Młodość, gdy jej zastąpiła drogę postać potężna, mąż nagi, olbrzymiego wzrostu, o piersi szerokiej, o ramionach, których żyły i mięśnie były na kształt węzłów, sęków i grubych narośli na konarach odwiecznego dębu. Pod niskiem czołem oczy małe, przebiegle błyszczące. Wśród twarzy, zmarszczkami gęsto zbrużdżonej, ponad przemocnemi szczękami — usta wąskie, bezkrwiste, mocno a złośliwie zaciśnięte. Zaciętości srogiej i straszliwej mocy wyraz, mocy nieustępliwej i groźnej. Na potężnych, jakoby ze spiżu odlanych stopach, łydach i udach — Herkulesowy tors. Skóra spalona przez słoneczny żar — barwy wypolerowanego bronzu.

— Ktoś ty? — spytała cicho Młodość, ze drzeniem pobladłych w nagłym lęku warg.

— Nie znasz mnie?... Juści, że mnie nie znasz — młodziku!... Jam T r u d, twój rodzic i brat — od dnia dzisiejszego! Przyjaciel twój od dziś i nieodstępny towarzysz... — odrzekł Olbrzym.

— Ustąp, ażebym ja, Młodość szczęśliwa, mogła pójść dalej tą drogą prostą ku onym szczytom. Tam oto mój cel. Ustąp ty, którego nie znam i którego się lękam. Oto idę, śpiewając pieśni wesela, wielbiąc słońce, księżyc i gwiazdy i ziemi wszelką żywiznę — —

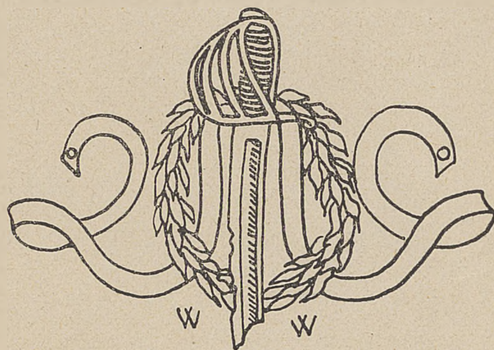
— Ohoho! powoli — synku! Ze mną sprawa nie łatwa. Chceszli pójść dalej tą drogą, to mnie obal! Drzysz?... Ano — spróbuj! Niema rady: zmierzyć się tu dziś musimy. Obalisz mnie, a droga dla cię do celu, do szczęścia i chwały otwarta. Obalę ja ciebie, to zginiesz pod moją stopą, spełniając swój obowiązek. Zginiesz, jak już tylu zginęło i co dnia ginie — nieznanych, zapomnianych, bezimiennych — bohatyrów...

— Ustąp, daj przejść! Lękam się ciebie. Nie umię walczyć. Jakoż ja Młodość słaba i bezbronna mogę się mierzyć z tobą — Olbrzymie?...

— Daremne prośby twoje; nie ustąpię. Ha, ha! Więc się lękasz, drzysz? Słabyś?... A więc dobrze. Spójrz: Oto tam, niedaleko stąd, wije się kręta ścieżka...

— Wszakże tam bagno, a ścieżka wśród bagna kręta, niepewna i długa — szeptała z lękiem Młodość.

— Ha! niema tu dróg innych! — mruknął Olbrzym. — Jest tylko ta droga prosta, którą szłaś dotąd, i tamta — kręta przez bagno. Wybieraj! Tu musisz się zmierzyć ze mną. Gdy wybierzesz tamtą, mnie ominiesz; lecz czy zdołasz ujść zasadzkom topieli i dojść do celu, do którego dążysz — — Wybieraj!...





Cudze chwalicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie, co posiadacie.

STARANIEM I NAKŁADEM „ZWIĄZKÓW STRZELECKICH". ODBITO W DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE.